



KULAWY SZERMIERZ

Dziękuję moim pierwszym czytelnikom:
Dawidowi i Łukaszowi, Łukaszowi i Roksanie;
Joli, za nieocenioną pomoc w pracy nad książką;
Daguni, za wsparcie i wiarę;
rodzicom, za wszystko.



Copyright © 2019 TOMASZ MATERA

All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: AGNIESZKA SZMATOŁA

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Wykonanie ilustracji okładkowej: PIOTR SOKOŁOWSKI

Layout i DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA

WYDANIE I

ISBN 978-83-66328-35-8



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA S.A.



KULAWY SZERMIERZ



KRAKÓW 2020

Byłem nie dość rozgarnięty,
by słuchać mądrzejszych,
i niedościgniony w tworzeniu
z mozaiki słabości ikony wojownika.

Jarosław Jaruszewski,

Nic przez c z kreską

Wprawiaj że się nieustannie w podajność taką wciąż, ażeby-ć zgrabną, naturalną a siłom twem odpowiednią była – bo tak unikniesz owej obcemi prawidłami przepisywanej teatralnej a dziwackiej postawy, dla której utrzymania często obezwiesz kordem w bok, lub paragraf jedenasty na licu lub łbie, a zatrzymasz postawę sobie przyrodzoną, dzielną, wzrostowi twemu, ułożeniu i siłom odpowiednią, jaką nie tylko że ocalisz się, ale i przeciwnikowi czelnie stawisz krok.

Michał Starzewski,

O szermierstwie



PIELGRZYM I MORDERCY

Spotkała go na rozdrożu. Siedział u stóp drogowskazu i przeżuwał paski suszonej wołowiny, podawane do ust na ostrzu noża. Fizjonomię miał zarośniętą i zbójowatą. Kaleka noga leżała nieruchomo, odpoczywając od ciasnego gorsetu wspierającej ją zwykle konstrukcji. Metalowe i drewniane komponenty tego dziwnego ustrojstwa leżały rozrzucone na trawie. Długi miecz o szerokim jelicu znajdował w zasięgu ramienia, oparty o głaz.

– Uther Mac Flann, szermierz? – zapytała czarodziejka. Kołysała w ramionach śpiące dzieciątko, zawinięte w niebieską, haftowaną w kwiaty chustę.

– Ten sam. – Wylał zatłuszczoną brodę rękawem i dźwignął się na nogi, wspierając ciało na słupie drogowskazu. – Wielebny przekazał mi zaliczkę. Będę strzegł cię w podróży.

– Doprawdy. – Czarodziejka uniosła brew z powątpiewaniem, a jej wzrok ponownie zatrzymał się na kalekiej kończyźnie Uthera.

– Doprawdy – potwierdził szermierz z irytacją. – Jesteś spóźniona. Pielgrzymi spodziewają się nas w opactwie przed zmierzchem. Droga przez góry nie będzie ani krótka, ani przyjemna.

– Nadrobimy stracony czas. Wzięłam ze sobą luzaka. Nie sie trochę bagaży, ale ciebie też dźwignie, mój panie strażniku.

– Nie jeżdżę konno – burknął wojownik, montując na chorej kończynie ów dziwny, usztywniający bucior.

– Czemu? – zdziwiła się czarodziejka.

– Bo nie jeżdżę.

Rozmowa zamarła, w powietrzu zawisła obustronna niechęć. Uther niezgrabnie zbierał się do drogi, a kobieta odwróciła się doń tyłem i zaczęła karmić dziecko piersią. Co jakiś czas popatrywała na szermierza przez ramię, po trosze niecierpliwie, a po trosze powodowana profesjonalną ciekawością uzdrowicielki.

– Masz źle zrośniętą miednicę. Nic dziwnego, że jazda konna powoduje ból.

Brodacz łypnął na nią nieprzychylnie.

– Nim dotrzemy do gór, konie trzeba będzie zostawić. Nie przejadą.

– Tymczasem jednak mógłbyś...

– A ten dzieciak to do czegoś potrzebny? – przerwał jej obcesowo. – Nie miałaś go z kim zostawić czy jak? Czeką nas trudna podróż.

– Nie twoja rzecz. Ty jesteś tylko najętą ochroną. Choć z tego, co widzę... Grubo przepłaciłam.

– A gdzie tatuś tego malucha? Może jego trzeba było zabrać, oszczędziłabyś na ochronie.

Czarodziejka posłała mu spojrzenie pełne złości.

– A może ty powinienesz wyuczyć się pożytecznego fachu, zamiast hulać na wojnie? Zdrowie byś oszczędził.

Ku jej niezadowoleniu kulawy szermierz zarechotał głośno, szczerze rozbawiony.

– Wielebny wspominał, że masz na podorędziu tajemny sposób, by osłonić nas przed zarazą. Wyciągniesz te swoje zaklęcia i amulety? Nie chcę złapać choróbka od naszych podopiecznych.

– Może wyciągnę. A może nie wyciągnę. Zastanowię się.

Uther pokręcił głową i splunął na trakt. Ruszyli w drogę.



Dezerterzy nadjechali z naprzeciwka i otoczyli wóz pielgrzymów, pewni łatwej zdobyczy.

Trędowaci pasażerowie furmanki byli równie bezbronni jak nowo narodzone myszy wydane na łaskę kocura. Czarodziejka jechała wierzchem, zamykając pochód.

– Wiozę zarażonych – zakrzyknął Uther, siedzący na koźle. – Trzymajcie się z dala, jeśli nie chcecie, by mór przeszedł na was.

Zawołaniu odpowiedział rechot tuzina żołdaków.

– Słyszycie? Zaraza! – Zamaskowany bandyta zerwał z twarzy chustę. Rozległo się ohydne mlaśnięcie, gdy brudny materiał oderwał się od ropnego zakrzepu. Oblicze knechta pokrywały ciekące wrzody, podobne do tych, które wielu pielgrzymów skrywało pod opatrunkami.

– Mór nam niestraszny. Weźmiemy wota, które wieziecie do świątyni. I weźmiemy babę. – Wskazał czarodziejkę ruchem szczeciniastego podbródka. – Potem możecie jechać w swoją stronę.

– Pomilujcie, panowie żołnierze – odezwał się starczy, gruźliczy charkot z tyłu wozu. – Nie ma różnicy między nami, wszystkich dosięgnął jednakowy los. Dołączcie do nas, a wspólnie złożymy ofiarę. Bogini będzie łaskawa i wybawi nas od złego. Nie bierzcie gwałtu i rozboju na swoje sumienia.

– Myśmy już swoje, dziadku, na wojence przedupczyli i nakradli. Za wasz pieniądz gorzałki kupimy, z tamtą sarenką się zabawimy, a wy proście waszą boginię o zmiłowanie i ozdrowienie, droga wolna. Jeśli rzeczywiście łaskawa, to i bez ofiar wysłucha modlitwy.

Wóz rozbrzmiał zgiełkiem wystraszonych głosów.

– Dajcie im, czego chcą! Życie wam niemiłe? – rozległ się okrzyk wynędzniałej kobiety, tulącej do piersi kikut ramienia.

Do nerwowego gwaru pielgrzymów dołączył płacz niemowlęcia, rozbudzonego przez hałas.

Mac Flann sięgnął pod derkę okrywającą kolana.

– Skoro tak stawiacie sprawę, to nie mamy wyjścia.

Herszt zbójów krzyknął ostrzegawczo. Uther wyrwał garłacz spod koca i wypalił mu w pierś. Huknęło i siekańce zmiotły bandytę z konia, obracając wnętrzości w krwawą sieczkę zaprawioną drobinami szkła i ołowiu.

Dwa bliźniacze belty ugodziły zarośniętego woźnicę w pierś, chowając się w ciele niemal do połowy drzewca. Brodacz opadł na koziół.

Dezserterzy sięgnęli po broń i zabrali się do jatki. Dwójka zbójów w siodłach zaczęła metodycznie rąbać pielgrzymów czekanami. Ramiona wznosiły się w niemym błaganu i próbach obrony. Żelazne obuchy opadały na czaszki, ramiona, go-

lenie i żebra. Bezbronni nieszczęśnicy czepiali się wojskowych pasów i jeździeckich butów swoich oprawców.

Czarodziejka rozłożyła ramiona i rozpoczęła inkantację. Niemowlę płakało głośno, zawinięte w błękitnym tobołku zawieszonym na jej ramionach. Sylaby mocy spłynęły z ust magini, rzeczywistość zadrżała, ustępując pod mocą zaklęcia. Lodowa mgła zaczęła krystalizować się między rozłożonymi dłońmi czarodziejki, a jej oczy zaszły nieprzeniknioną bielą.

– Wiedźma! – Dwóch konnych dało koniom ostrogi. Ruszyli galopem w kierunku inkantującej czarownicy.

Uther poruszył się na koźle i ze stęknieniem zeskoczył na ziemię. Brzęknął metal; lewa noga żołnierza była zatrzaśnięta w dziwacznej klatce z mocnego drewna i zmatowiałej stali, zespolonych naoliwionymi śrubami. Mimo wspierającej konstrukcji mężczyzna mocno utykał i zataczał biodrem, ciągnąc za sobą niemal bezwładną kończynę. Z jego piersi wciąż sterczały lotki dwóch beltów, którymi został trafiony. Zabrał z wozu miecz zawinięty w szare płótno. Obnażył ostrze, odrzucił precz pochwę i ruszył w kierunku dezertarów, przeczesujących furmankę w poszukiwaniu gotowizny uciulanej przez pielgrzymów.

Ledwie postąpił trzy kroki, drogę zastąpiło mu dwóch pieszych uzbrojonych w kordy. Pierwszego zabił cięciem znad ramienia, przełamując niewprawną zastawę i twardą kość. Głodne krwi ostrze wgrzyło się z chrzęstem między szyję a bark bandyty i otworzyło soczystą tętnicę pod obojczykiem. Drugi knecht zginął przybity sztychem do burty wozu. Skrwa-wiony brzeszczot przeszedł na wylot i rozszczepił sękate deski.

Kulawy wojownik wyrwał broń gwałtownym szarpnięciem, zaś umierający człowiek osunął się na ziemię jak marionetka, której odcięto sznurki.

Lansjer najechał koniem, przypierając Uthera do furmanki. Szerokie cięcie otworzyło końskie gardło i zrzuciło lansjera wprost na oczekujący go sztych. -Uther dźwignął podrygujące ciało na ostrzu i ze stęknieniem odrzucił je na bok.

Tymczasem jeźdźcy dotarli do czarodziejki. Jeden z nich chwycił ją w przelocie za włosy i zwałł z siodła. Ostatnie sylaby zaklęcia rozpadły się w krzyk przerażenia i bólu. Konny w jednej garści ścisnął wodze, w drugiej włosy magini. Wychylony z kulbaki, przeciągnął ją kilkanaście arsyzynów wzdłuż traktu. Węzeł na ramieniu kobiety rozplótł się i błękitny tobolek z kwilącym dzieckiem potoczył się po ubitym trakcie. Widząc powodzenie kompana, drugi maruder zatrzymał gwałtownie wierzchowca, by dołączyć do walki i plądrowania wozu. Klacz stanęła dęba, zadrobiła w miejscu, kopyta zatańczyły wokół zawiniątka.

Knecht z kuszą wymierzył w głowę kulawego szermierza. Powalany posoką wojownik zasłonił twarz ramieniem. Bełt utkwiał w stalowym karwaszu. Błysnęła stal. Głowa kusznika odskoczyła w tył, a między oczami sterczała rękojeść rzuconego noża. Żołnierz padł na ziemię jak rażony piorunem.

Przerwane przez czarodziejkę zaklęcie, miast rozwiać się niegroźnie, zawisło w powietrzu i poczęło się gwałtownie wypaczać. Nad traktem uformowała się kula trzaskającego mrozu, rana w tkance rzeczywistości, źrenica, przez którą przesącał się trujący oddech lodowego piekła.

Dezerterzy obstąpili tymczasem Uthera, obchodząc go półkolem. Bronił się jak niedźwiedź otoczony przez sforę chartów. Utykając, nie mógł poruszać się szybko, a napastnicy ostrożnymi pchnięciami broni drzewcowej szukali luk w jego obronie. Zmrużone, wściekłe oczy łypały czujnie spomiędzy krzaczastych brwi i sklezionej krwią brody. Ukośnym uderzeniem przerąbał trzonek zbliżającej się włóczni, udaremniając kolejny atak. Uchylił się przed berdyszem, schodząc do niskiej postawy w oszczędnym uniku. Noga, oczywiście, zdradziła go i ugięła się bezwładnie.

Ścigający czarodziejkę jeździec zeskoczył na gościniec z brzękiem ostróg i stanął nad sponiewieraną kobietą. Schwytał ją mocno za kaftan i jął wymierzać ciężkie razy pięścią. Trzy uderzenia sięgnęły kolejno skroni, nosa i zuchwy, a każdemu towarzyszył satysfakcjonujący głuchy odgłos. Półświadoma magini oddała słaby cios otwartą dłonią. Połowa twarzy bandyty stanęła w ogniu i spłynęła z kości, odsłaniając nagą czaszkę.

Uther upadł i bronił się rozpaczliwie mieczem, grotty włóczni ugodziły go dwukrotnie w żebra, próbując wytrzymałość kolczugi. Zbrojny w berdysz dezerter stanął bezpośrednio nad nim.

Czarodziejka podbiegła w panice do porzuconego w błocie błękitnego tobołka i padła na kolana, kurczowo przyciskając drobne ciało do piersi. Jej dłonie błędziły gorączkowo po niemowlęcej szyjce i piersi, szukając pulsu i oddechu. Bandyta ze stopioną twarzą lkał i lamentował nieopodal. Gdy próbował dotknąć okaleczonego oblicza, spostrzegł z przerażeniem, że jego dłonie także zajęły się ogniem.

Uther wyrwał belt z własnej piersi i ugodził draba z berdyszem w stopę i w udo, kupując bezcenne sekundy życia. Kółka kolczugi były rozerwane w miejscu, gdzie grot przebił pancerz i ugrzązł w pikowanym kaftanie.

Wtem błękit wirującego nad ziemią zaklęcia rozpadł się i eksplodował falą upiornego mrozu, obracając najbliższej stojących bandytów w lodowe posągi. Czarodziejka złożyła dłonie w ochronny sigil. Niszczycielska energia rozszczepiła się w kształt litery V i ominęła ją. Magiczna tarcza ocaliła też i poparzonego bandytę, który lkał z bólu, siedząc kilka kroków za czarodziejką.

Arktyczny podmuch ściał krew w żyłach knechtów otaczających kulawego wojownika. Dwóch zastygło w lód z bronią gotową do ciosu. Trzeci, uchwycony w ruchu, padł na ziemię i roztrzaskał się na tysiąc odłamków zmrożonego mięsa. Kto wciągnął do płuc mroźne powietrze, padał na kolana z wybaluszonymi oczami, krew ze zranionych płuc ciekła przez otwarte usta.)

Pozostali przy życiu dezenterzy stracili serce do walki i uciekli w las, chwytając w biegu ocalałe konie. Siłacz z berdyszem zaniechał polowania na Uthera i, rzuciwszy oręż, odkuśtykał między drzewa z lotkami beltu sterczącymi z grubego uda.

Zapadła cisza, przerywana uspokajającym gaworzeniem matki kołyszącej dziecko i jękami jegomościa o oszpeconej twarzy. Uther wstał, wspierając krępa sylwetkę na skrwawionym mieczu. Gramoleniu na nogi towarzyszyło bolesne stękanie i plugawe przekleństwa, które mełł w ustach jak niesmaczny niedopałek.

A potem zobaczył, co stało się z furmanką.

– Ja pierdołę... – sapnął zatrwożony.



Moc zaklęcia uwieczniła scenę rzezi pielgrzymów, zaklinając wóz wraz z pasażerami w lodową rzeźbę. Oprawcy skostnieśli z czekanami uniesionymi do ciosu, z garściami pełnymi monet, obwieszeni zrabowanymi kosztownościami. Niektórzy z pielgrzymów musieli być zamożnymi ludźmi, bo w triumfalnie wzniesionej dłoni jednego z bandytów pysznił się długi sznur pereł.

Pątnicy zastygli w rozpaczy i przerażeniu. Magia zespoliła ofiary z mordercami w szaloną płataninę kończyn, jakby spod dłuta szalonego rzeźbiarza.

Uther, kuśtykając, okrążył wóz. Czarodziejkę znalazł po drugiej jego stronie. Tulila dziecko do piersi, wpatrując się nieprzytomnie w efekt zerwanego zaklęcia. Jej usta drżały i otwierały się bezgłośnie.

– Czy ty w ogóle panujesz nad swoją magią, kobieto? To tak miało być?

– Za... Za... Zabiłam ich... Wszystkich...

Spod wozu dobiegły dźwięki rżącego kaszlu.

– No, chyba jednak nie wszystkich. – Kulawy szermierz schylił się i wyciągnął za kubrak wychudzoną, trędotwą kobietę.

– Litości! Litości! Błagam, nie zabijaj!

– Poznaję cię po głosie, niewdzięczna małpo – burknął wojownik. – Słyszałem, jak wrzeszczałaś, żeby wydać uzdro-

wicielkę. – Pchnął lekko kobiecinę. To wystarczyło, by upadła na ziemię. Została tam; brudny worek szmat, kości i trawionego chorobą mięsa.

Niemowlę zaczęło płakać i czarodziejka odetchnęła z ulgą. Do tej pory tylko patrzyło przed siebie i łapało szmaty powietrze. Teraz pobladła w szoku buzia nabrała różowego koloru.

– To twoja wina, ty brudny żołdaku! Ochroniarz od siedmiu boleści! Mówiłam od początku, by ich odstraszyć! Miałabym czas na przygotowanie zaklęcia!

Uther zachnął się.

– A skąd ja miałem wiedzieć, że to banda zarażonych? Normalni maruderzy ominęliby nas szerokim łukiem.

Gdy czarodziejka odezwała się ponownie, jej głos drżał od łez.

– Zamordowałam ich. Bogini nigdy nie wysłucha mojej prośby. Zabrałam ich na śmierć.

– Wiesz, dobiłaś ich tylko. Bandyty byli już w połowie roboty. Czarodziejka rozplakała się.

– No już, już. Biorę to na swoje sumienie. Masz rację, popełniłem błąd w ocenie. Bogini widzi, że chciałaś jak najlepiej.

Chwiejnym krokiem podszedł do zwiniętego w kłębek bandyty ze spaloną twarzą. Kopnięciem przewrócił go na wznak, a następnie przygoździł do ziemi, stając na jego pierśsi żelaznym butem, i oparł sztych na odsłoniętej grdyce. Zbój bronił się niezbornie, chwytając poparzonymi dłońmi nogawicę wojownika i ostrze jego miecza, nie miał jednak sił, by przesunąć jedno ani drugie.

– Nie! Zostaw go. Dosyć zabijania – zaprotestowała czarodziejka.

– Przecież i tak zdechnie. Jak nie od ran, to od zarazy.

Uzdrowicielka podniosła się, ocierając mankietem cieknący nos i zapłakane oczy. Na jej twarzy błyskawicznie rosła opuchlizna.

– Zostaw go, mówię. Rany nie są śmiertelne. Przeżyje, jeśli nie wda się zakażenie. Zajmę się nim teraz.

Wierzchowiec czarodziejki szczęśliwie ocalał. Podeszła do juków, by poszukać potrzebnych akcesoriów.

Brodaty kaleka wrzucił ramionami, złażąc z rannego. Schylił się z wyraźnym bólem, odebrał mu sztylet noszony w cholewie jeździeckiego buta.

– Rób, co chcesz. Tylko nie myśl, że będę go włókł ze sobą do świątyni. Nie mam ochoty obudzić się z poderżniętym gardłem.

– To, co powiedziałaś, nie ma sensu – zauważyła przytomnie czarodziejka, grzebiąc w bagażach. Powoli odzyskiwała rezon.

– Wiesz, jak długo umiera człowiek z poderżniętym gardłem?

– Jak długo?

– Długo. Zdziwiłabyś się.

– Mówisz do medyczki.

– A ty do żołnierza. Dziecko lepiej nakarm.

Krzętałi się przez jakiś czas po pobojowisku, wokół lodowego monumentu przemocy. Wojownik zbierał porzucony ekwipunek, a czarodziejka zajmowała się rannym. Niemowlę

usnęło, zmęczone płaczem. Trędowata kobieta myszkowała pod wozem, szukając rozrzuconych monet i innych kosztowności. Sznur pereł trafił do sakwy Uthera, odłamany wraz z kawałem bandyckiej dłoni.

– To kiedyś stopnieje? – zapytał poirytowany szermierz.

– Powinno. Magia rozprasza się z czasem – odpowiedziała czarodziejka, trzymając w zębach końcówkę bandaża, którym opatrywała czaszkę nieprzytomnego bandyty. – Ciekawe. Nie widać na nim śladów choroby. Wygląda, że jest odporny. Co on robił z bandą zarażonych straceńców?

– Rabował? Gwałcił? Mówię ci, zostaw go diabłu.

– Zostawię mu trochę jedzenia. Obudzi się z gorączką i minie kilka dni, nim będzie mógł podróżować.

– Jesteś głupia. – Kaleka wyrwał jeden ze swych noży z czaszki dezertera i wytarł ostrze w kaftan nieboszczyka. – Musimy iść. Ich koledzy ochłoną wkrótce i wrócą po łupy, a ja nie mam ochoty na rundę drugą.

Wojownik i czarodziejka uporali się ze swoimi zadaniami i stanęli naprzeciw siebie. Oboje nosili ślady niedawnej walki: krew, błoto i opuchliznę.

– Jesteś ranny – zauważyła uzdrowicielka, wskazując na lotki beltu sterzące z torsu Uthera i dziurę w kolczudze tuż obok. Szermierz machnął ręką.

– To nic, grot ledwo wszedł w sadło. Pancierz powstrzymał impet. – Wyrwał belt i rzucił go na ziemię.

– Powinniśmy pochować pielgrzymów... – Kobieta zagryzła wargę, wciąż walcząc z sumieniem.

– Nie ma czasu. Musimy dotrzeć do fortu. Tam będziemy bezpieczni.

– Mamy konia – przypomniała. Kaleki wojownik skrzywił się.

– Niech będzie. Siądę za tobą – mruknął, robiąc minę, jakby zjadł coś niedobrego. Po chwili jego oblicze rozpogodziło się.

– Albo i nie siądę. Przecież trzeba zabrać babę. – Wskazał ruchem brody na trędowną, buszującą wśród zwłok. – Słyszysz, babo? Na koniu będziesz jechać.



W forcie zostawili wierzchowce i zakupili zapasy. Naczelnik stancy przyjął wieść o pogromie pielgrzymów ze smutkiem, lecz bez zdziwienia. Zarażeni dezertery byli znani w okolicy. Słano w tej sprawie listy do komturii Zakonu, rycerzom jednak nie uśmiechało się uganiać po lasach i wykrotach za watahą rabusiów.

Na odchodnym powiedziano im, że dzień wcześniej, w kierunku sanktuarium na Górze, wyruszył orszak możnego pana w eskorcie kilkunastu zbrojnych. Mąż ów nie podróżował pod herbem ani nie przedstawił się urzędnikowi w fortalicy, jednak wioził glejty wystawione przez samego Dożę. Postanowili więc niezwłocznie podjąć wspinaczkę i dogonić świtę tajemniczego wielmoży, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Zębata Grań była zdradliwym szczytem i prawdziwym wyzwaniem dla odwagi i determinacji pielgrzymów.

Leśny trakt ustąpił miejsca nagim granitom i posępny bazaltom. Wysokie sosny skarłały do rozmiaru pokracznych drzewek, wczepionych w skały rozczapierzonymi, gruzłowatymi korzeniami. Uther sarkał i narzekał przy stromym podejściu, przeklinając kaleką nogę. Dziecko płakało. Czarodziejka rozpamiętywała wydarzenia minionego dnia. Co jakiś czas widywali kości pielgrzymów, obrane z mięsa przez padlinożerców i wyczyszczone do białości przez czerwone mrówki. Szkielety wyglądały tak, jakby wciąż próbowały czołgać się pod górę.

Czy miłosierna Bogini zakpiła sobie z żarliwej nadziei tych nieszczęśników, odmawiając błogosławieństwa tak blisko celu? Czy byli grzeszni, niegodziwi i przekłęci przez bogów? Zębata Grań osądziła ich i wymierzyła karę. Czy sprawiedliwą i zasłużoną, czy ślepą i bezsensowną, nie sposób rozstrzygnąć.

Nawet dla zdrowego i silnego męża Góra byłaby wyzwaniem. Lecz zdrowi i silni nie potrzebowali pielgrzymować do sanktuarium. Na stromych podejściach i wąskich półkach zalegały szczątki kalek, trędowatych i suchotników, którzy oddali Górze ostatnie oddechy i ostatnie kroki drżących, wychudzonych nóg. Zbyt słabi, by iść, padali pod palącym słońcem. Zamieniali się w upiory, wtulone w wąski cień rzucany przez skały. Pełzali wokół głazów, by uciec przed żarem, i zlizywali ze skał poranną rosę, aż upomniały się o nich głód lub choroba.

Nagrodą za trud całodzienniej wspinaczki była piękna panorama, która otworzyła się przed oczami wędrowców. W dole rozciągało się morze szumiących sosen, czesanych

dłonią górskiego wiatru. Pokryte zielenią wzniesienia wyglądały jak spiętrzone fale niespokojnego oceanu. Dalej w stronę horyzontu ciągnęły się kolorowe pola, krzewiaste sady i miasteczka ciasno słoczone wzdłuż traktu. Wolne miasto Limburg koronowało krajobraz zębatą linią murów i baszt. Leżąca u zbiegu dróg metropolia rozlewała się poza obręb fortyfikacji w rozłożyste podgrodzie. Kryte brązową blachą dachy ratusza, katedry i pałacu Doży stały w ogniu, odbijając blask zachodzącego słońca.

Choć szli cały dzień bez wytchnienia, nie udało im się dopędzić orszaku przed zmierzchem. Przyszło im więc popasać w osłoniętej od wiatru kotlinie, wkliniwanej między zręby dwóch potężnych turni. Do uspokajającego szumu wodogrzmotu dołączył irytujący odgłos oselki przesuwanej energicznie po ostrzu. Dźwięk ten przyprawiał czarodziejkę o gęsią skórę.

– Mógłbyś przestać? Dziecko śpi – poprosiła wreszcie, rozdrażniona.

Uther łypnął na nią spod krzaczastych brwi i schował ostrzony nóż w bandolierze, mrużąc niewyraźną skargę o kapryśnych babach. Ostrze dołączyło do dziewięciu innych.

– Co ty w ogóle masz z tymi nożami? Wyglądasz jak rzeźnik.

– Nauczyłem się porządnie rzucać po tym, jak mnie okulawiono. Nie lubię, kiedy mięso ucieka mi spod miecza.

– Jesteś odrażający.

Szermierz zostawił żelastwo w spokoju, przeciągnął się i położył, opierając kudłatą głowę na zwiniętym kocu. Kaleka noga odpoczywała w wieczornym chłodzie, wyłuskana z żelaznej klat-

ki i skórzanego buta. Stopa była fioletowosina i bezwładna, a udo pokryte bruzdami głębokich blizn. Tam, skąd drenowano ropę i wycięto gnijącą tkankę, widać było zarośnięte jamy po brakującym mięśniu.

Uther poszperał w swoim bagażu, wydobył zeń parę szkielec do czytania i manuskrypt oprawiony w natłuszczoną skórę. Czarodziejka zachnęła się, poirytowana.

– Gapisz się w ten notesik codziennie od początku podróży. Albo znasz to już na pamięć, albo nie umiesz czytać. A może po prostu lubisz oglądać szermierzy w bufiastych pludrach.

– Czego ty właściwie chcesz, kobieto?

– Mógłbyś wreszcie zabawić mnie rozmową.

– O czym?

Czarodziejka wierzgnęła nogą zaplątaną w koc i odwróciła się tyłem do ognia. Zdezorientowany Uther wpatrywał się w jej plecy, w smukłą linię talii i delikatny łuk bioder. Jakże odmienna była ta istota od rumianych wieśniaczek i obozowych wilczyc, które znał.

Uther nie miał kobiety od czasu, gdy został okulawiony. Nie to, że nie próbował. Odwiedzał wielokrotnie wesołe dziewczęta, pełen najlepszych intencji. Za każdym razem wstyd i złość wywołane kalectwem udaremniały wszelkie próby osiągnięcia gotowości do działania. Płacił jednak dziewczętom, bo w gruncie rzeczy uważał się za porządnego człowieka. One prawdopodobnie miały go za durnia.

Z nieznanых powodów cisza zaczęła nieznośnie ciążyć kalekiemu wojakowi. Oderwał wzrok od czarodziejki i jego

spojrzenie napotkało trędowną niewiastę, która siedziała tuż poza kręgiem światła rzucanym przez ognisko. Maltretowała suchy prowiant bezzębnymi dziąsłami, jak zwykle milcząca. W szeroko otwartych oczach odbijała się zgroza, rozpacz i rezygnacja. Patrzenie na nią zdecydowanie nie pomagało. Dziecko z kolei spało smacznie i wydawało się nie mieć żadnych problemów. Ciamkało przez sen i zaciskało rączki, zaabsorbowane własnymi, niemowlęcymi sprawami. Znikąd pomocy.

Rozdrażniona czarodziejka leżała tyłem do paleniska i patrzyła w mrok, odliczając w myślach. Miała do czynienia z mężczyznami i ten kudłaty rębajło nie mógł różnić się wiele od arystokratów z Miasta Wież. Oczekiwanie trwało jednak zdecydowanie zbyt długo, żar ogniska piekł ją nieznośnie w tyłek.

Wreszcie Uther skapitulował. Nie pociągała go perspektywa spędzenia wieczora na gapieniu się w ogień pośród niezręcznego milczenia. Kaszlnął w kułak, by oczyścić gardło, i przemówił.

– Moja tożsamość i historia nie stanowią żadnej tajemnicy. Nie składają się też na szczególnie porywającą opowieść. Zwę się, jak wiesz, Mac Flann. Jestem... Byłem fehmistrzem Żelaznej Kohorty. Reprezentowałem macierzystą formację w kwestiach honoru.

Czarodziejka obróciła się na brzuch i wsparła podbródek na dłoniach.

– To chyba zaszczytna funkcja.

– Tak. Zdobyłem ją w serii pojedynków z najlepszymi szermierzami kompanii. Stoczyłem sześć walk jednego popo-

ludnia i wszystkie były moje. Lało wtedy, jakby niebiosy się wściekły. Walczyłem jak sam diabeł. To był piękny dzień.

– Na trakcie miałam okazję zobaczyć cię w akcji. –
Wzdrygnęła się. – Imponujące. I straszne.

Kaleka obruszył się i spojrzał na towarzyszkę podróży, szukając kpiny w jej twarzy.

– To, co widziałeś, to jedynie smutny żart. Nie jestem w stanie regulować dystansu ani w ogóle poprawnie fechtować. Lada jaki szermierz zatańczy ze mną jak z łatwą panienką. Draby z gościńca nie potrafili się bić, to wszystko.

– Z kim się potykałeś? Jako fehmistrz kompanii?

– To właściwie zabawne, ale większość walk stoczyłem z szermierzami wystawionymi przez Wolne Miasta. Miasta chętnie najmują żołnierzy, płacą mniej chętnie. Książęta i rajcy powołują się zwykle na jakieś uchybienia w kontrakcie. Zwyczajowe prawo pozwala rozstrzygnąć wiele takich konfliktów na drodze sądu bożego. Wówczas na scenę wkraczają szermierze. Jeśli kompania ma sławnego fehmistrza, miasto nie zadaje sobie trudu i płaci bez gadania.

– Niezbyt to heroiczne. Spodziewałam się usłyszeć o zmaganiach z generałami wrogich armii i pojedynkach o honor wielkich dam.

– Nikt nie uzna wyniku pojedynku za rozstrzygający arbitraż w przypadku wojny. Stawki są zbyt duże. Wojny toczą się dopóty, aż obie strony zgodzą się, że dalej nie opłaca się walczyć. A sprawy matrymonialne to najgorsza, najbardziej brudna robota dla zawodowego szermierza. Brałem takie zlecenia tylko w ostateczności.

– Wyobrażam sobie, że niekiedy usiłowano wykorzystać cię jako narzędzie zemsty za zawiedzione uczucia.

– Żebyś wiedziała. Kobiety bywają krwiożercze i nierzadko żądają głowy niewiernego kochanka lub pomówcy, nastającego na ich cześć. I co ja mam wtedy zrobić, zabić takiego nieszczęśnika, który ledwie umie się bronić? Nawet w wypadku pojedynków toczonych do pierwszej krwi gra nie jest warta świeczki. Pokonany, ośmieszony rajca czy szlachciur zawsze próbuje się mścić, nasyłając groszowych wykidajłów albo godnych jedynie litości strażników. Zawsze jest z tego wielki bałagan.

Raz było tak, że dwoje skłóconych kochanków wplątało mnie w swoje gierki. Najpierw pokiereszowałem amanta, zostawiając mu brzydką bliznę na pamiątkę. Potem zakochane ptaszki pogodziły się i wzięły ślub. Wspólnie ścigali mnie przez połowę kontynentu, bo ojciec tamtej harpii zasiadał w radzie królewskiej i gdy uruchomił swoje wpływy, przez jakiś czas życie stało się dla mnie dość trudne. Wysłano za mną nawet list gończy. Zabrałem sobie jeden egzemplarz na pamiątkę. Niestety, został w taborze przy Kohorcie.

Najzabawniejsze jest to, że zatrudniająca mnie damulka oferowała swoje wdzięki jako zaliczkę wynagrodzenia. Nie było okazji wspomnieć o tym absztyfikantowi. Teraz sędzę, że powinienem uczynić to od razu, uniknąłbym wówczas całej tej awantury.

– Skorzystałeś? – Czarodziejka uniosła brew, pytając.

Uther wzruszył ramionami.

– Młody byłem.

– Zwierzę. Sam jesteś sobie winien.

– Masz rację. Tak czy inaczej, podobne wojaże należą do przeszłości. Nie utrzymam się już z miecza, nikt o zdrowych zmysłach nie zatrudni kulawego szermierza. Nic innego robić nie potrafię.

– Służyłeś przecież w Kohorcie. Kompania o takiej sławie z pewnością dba o okaleczonych weteranów.

Kaleka skrzywił się i splunął do ogniska.

– Nie potrzebuję jałmużny. Chcę odzyskać tytuł fehmistrza, który utraciłem. Honor ten przypadł człowiekowi, który porzucił mnie rannego na polu bitwy i zadbał o to, by nikt mnie nie szukał.

Zamilkł na chwilę, patrząc, jak ogień przegryza się przez polana.

– Nie powiem, żebym go nie rozumiał. Jest młody, ambitny i zdolny. Ma nieprawdopodobny talent, jeśli chodzi o robienie mieczem. On jednak... Cóż, jest faworytem pani general. Funkcja fehmistrza to dla niego stopień na drodze do wyższych szarż i zaszczytów. Nie kocha szermierki. Nie oddał jej życia.

– Jeśli Bogini wysłucha twojej prośby... Zamierzasz rzucić mu wyzwanie?

– Tak się to odbywa.

– Kim jest ten człowiek?

– Nazywa się Giovanni Malagrida, pochodzi z wyspiarskiej arystokracji. Mówią na niego Skowronek, bo głos ma piękny i czysty. Jego rozkazy przebijają się przez bitewny zgiełk jak stalowa klinga przez miękkie ciało. Któregoś dnia będzie ich słuchać cała Kohorta.

– Chyba niemądrze prowokować kogoś takiego.

– Wołali na mnie Koziół, podobno dlatego, że jestem uparty. Teraz dodatkowo mam jeszcze kopyto. – Kopnął zdrową nogą stalowy but, rozłożony na części.

Czarodziejka zaśmiała się i usiadła, podciągając kolana pod brodę.

– Mówiłeś, że służyłeś w wojsku? Przypomina to raczej folwark.

– Żebyś wiedziała, mieliśmy w kompanii cały zwierzyniec. Był Bawół, Wydra, Węgorz... Niezawodny adiutant Iskierka, no, ale to nie zwierzę. Była też markietanka, którą przezywaliśmy Ropuchą. Chodziło się do niej, gdy nie było pieniędzy na nic lepszego.

– Wystarczy. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

Czarodziejka wzdrygnęła się, by strząsnąć z siebie obrazy podsuwane przez nadgorliwą wyobraźnię. Pochyliła się nad dzieckiem, ale spało spokojnie i nie wyglądało na to, że wymaga pilnie matczynej interwencji.

– Jesteś zdrowa jak koń – zagadnął wojownik, gdy owinęła się ponownie kocem. Uniosła pytająco brew.

– Słucham?

– Myślę, że nic ci nie dolega. Chodzi o dziecko. W przeciwnym razie czemu miałabyś narażać je na trudy podróży? Sądzę, że mówię rzeczy oczywiste.

– Istotnie.

– Malec także wygląda zupełnie normalnie. Jest tłusty i różowiutki jak świeżo wyszorowana świnka.

– Mimo to jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Choroba, którą nosi w sobie, nie odcisnęła jeszcze śladów na ciele. Jest to jednak tylko kwestia czasu.

– Nie potrafiłaś pomóc? Jesteś wszak biegłą uzdrowicielką. Władasz siłami, które przekraczają moje zrozumienie.

– To nie takie proste. W całym Mieście Wież nie znalazłam maga, który byłby w stanie ocalić moją córkę. – Zagryzła wargę. – Pielgrzymka do sanktuarium na Górze to moja ostatnia nadzieja.

Uther poruszył żar spod gasnącego ogniska i dołożył świeżych polan. Nie rzekł nic, nie chcąc peszyć rozmówczyni, która wyraźnie zbierała myśli.

– Wrażliwość na magię to niebezpieczna rzecz. Kapłani głoszą, że ludzkie ciało i dusza nie zostały stworzone do tego, by dzierżyć iskrę mocy pochodzącej spoza tego świata. Być może jest w tych opowieściach ziarno prawdy. Wielu pośród obdarzonych talentem popada w szaleństwo lub ginie, padając ofiarą własnych, nieokiełznaných zdolności.

Eugenicy w Mieście Wież od wielu pokoleń studiują fenomen dziedziczenia daru. Udało im się wiele zrozumieć. Doszli przy tym do wniosku, że magowie i maginie powinni dobierać się w pary z wielką ostrożnością i wedle ściśle określonych reguł dynastycznych. Niektóre połączenia owocują bowiem potomstwem, które przejawia talent niestabilny i groźny.

Nie będę zarzucać cię szczegółami, których nie możesz zrozumieć. Pokochałam niewłaściwego człowieka. Pobraliśmy się i zdecydowaliśmy na dziecko, wbrew prawom eugeniki i zdrowemu rozsądkowi. Zapłaciliśmy za to wysoką cenę. Wciąż płacimy.

Oblicze czarodziejki było napięte i pełne goryczy. W świetle płomienia wyglądało jak woskowa maska. Uther zmarszczył brwi. Coś mu w tej historii nie pasowało.

– Gdzie jest teraz twój mąż?

Pokręciła głową.

– Źle zgadujesz, nie porzucił mnie. Pokłóciliśmy się. Uważał, że należy kontynuować eksperymenty i powierzyć ocalenie naszego maleństwa uczonym z Miasta Wież. Ja straciłam wiarę w umiejętności i wiedzę wezwanych przez niego specjalistów. Traktowali nasze dziecko jak obiekt badawczy i miałam przeczucie, że są gotowi poświęcić jego życie, jeśli dzięki temu dokonają znaczącego odkrycia. Gdy powiedziałam o tym mężowi, wyśmiał moje obawy. Zabrałam dziecko i opuściłam Miasto, nie zdradzając nikomu swoich planów. Mój mąż to wspaniały, kochający mężczyzna. Sądzę, że szuka mnie teraz i szaleje z obawy. Nie miałam jednak wyboru.

– Bogini będzie dla ciebie łaskawa. Przemierzyłaś morze i cały kontynent, by zanieść swoją prośbę. Jesteś odważną kobietą, a bogowie kochają odważnych. Będę się modlił, byś została wysłuchana.

Kulawy szermierz próbował dodać jej otuchy, jednak jego słowa trafiły w próżnię. Zatraskana matka zaciskała smukłe dłonie na kocu i miała bezwiednie lamówkę.

– Śpijmy. Jutro czeka nas ciężki dzień. – Przysunęła się bliżej niemowlęcia i ułożyła do snu, skulona na boku.

Uther leżał na wznak i gapił się w niebo. Nie potrafił zmrużyć powiek. Do późnej nocy dobiegał go cichy szloch czarodziejki.



O świcie wojownik poszedł przynieść wody ze strumienia. Zamarudził nad wodospadem, głównie w tym celu, by jego towarzyszka miała czas swobodnie nakarmić niemowlę.

– Ogoliłeś głowę – zauważyła, gdy wrócił, niosąc bukłaki ociekające lodowatą, źródlaną wodą.

– Wszy miałem – skłamał. W rzeczywistości zawstydył się niechlujnego kołtuna.

– Dobrze wyglądasz. Te blizny na czaszce dodają ci uroku. Szkoda tylko, że się pociąłeś przy tym goleniu.

– Bo mi noża nie dałaś naostrzyć.

– To brzytwy nie masz?

– Nie pomyślałem, żeby spakować.

Słońce raziło ich w marszu, a porywy wiatru szarpały odzienie. Pogoda była kapryśna jak sami bogowie. Złote kolumny słonecznego blasku prześwitywały przez burzowe chmury. Mijali modlitwy wyrzeżane na powierzchni gładów, zalegających potężny grzbiet Góry.

Przed południem spostrzegli orszak, który spodziewali się dopędzić poprzedniego dnia. Ośmiu krzepkich tragarzy przeprowało się przez ruczaj, niosąc na barkach masywną, krytą lektykę ze szlachetnego drewna. Pojazd kołysał się niebezpiecznie, gdy słudzy szukali oparcia dla stóp na mokrych kamieniach. Nurt wartkiego strumienia burzył się i pieniał wokół ud. Ośmiu zbrojnych strzegło bezpieczeństwa przeprawy.

Palankin miał ażurowe okiennice o szczelinach wyciętych w kształt heraldycznych lilii. Strażnicy i lektyka nosili barwy Limburga: czerń i złoto. Burty pojazdu zdobiły zwieszane z dachu proporce, na których czarna orlica osłaniała skrzydłami trzy złote jaja.

– Pielgrzymujemy do sanktuarium! – zakrzyknęła z dala czarodziejka. – Szukamy posłuchania u Kapłanki. Pragniemy ogrzać się przy wspólnym ogniu, połączyć siły i modlitwy w drodze na szczyt.

– Jakim ogniu... – mruknął kaleka. – Ukrop jest jak w piecu.

– Och, zamknij się, łaskawy panie. Ostatnio miałeś okazję mówić w naszym imieniu i pięknie na tym wyszliśmy.

Zaalarmowani zbrojni z eskorty wymierzyli kusze w kierunku nadchodzących.

– Nie zbliżać się, dopóki palankin nie znajdzie się na drugim brzegu! – odkrzyknął posiwiasty weteran, dowodzący żołnierzami.

Wędrowcy usłuchali i przystanęli w miejscu. Przez kilka pacierzy obserwowali zmagania tragarzy z rwącym nurtem, aż wreszcie lektyka spoczęła bezpiecznie na kamieniach przeciwległego brzegu, a wyczerpani słudzy chwycili za kordy, by zapewnić eskorcie bezwzględną przewagę liczebną. Wtedy pozwolono nowo przybyłym zbliżyć się i przekroczyć potok, co okazało się nader przykrym doświadczeniem dla kalekiego szermierza.

W ażurową okiennicę lektyki zastukano dwakroć od wewnątrz. Skrzydło okienka uchyliło się i z pojazdu wychynął

starczy szpon, przyzbrojony w wysadzone klejnotami pierścienie. Władczy gest kościstej dłoni przywołał dowódcę eskorty, który nachylił posłusznie posiwiałą głowę i nasłuchiwał instrukcji padających z wnętrza lektyki. Żołnierz próbował opowiadać, jednak próby te ucięło uderzenie laski w wewnętrzną burtę. Weteran skłonił się i z twarzą wykrzywioną w gorzkim grymasie, wyszedł na spotkanie szermierza i czarodziejki.

– Doża pragnie z wami mówić. Przyjmie was natychmiast – powiedział.

W lektyce było ciemno jak w grobowcu. Zastale powietrze pachniało kadzidłem, chorobą, starością, zwierzęcą skórą i szlachetnym drewnem. Pojazd był zaiste ogromny; dwójka gości mogła stanąć w jego wnętrzu, lecz byli zmuszeni garbić się jak uniżeni petenci.

Koścista sylwetka Doży spoczywała wśród aksamitnych poduszek i przepoconych nakryć, na łożu zajmującym większość wolnej przestrzeni. Mimo upału matuzalem miał na sobie grube futro. Wychudzone ciało całkowicie ginęło w fałdach bogatego stroju. Łysą czaszkę przyozdabiał diadem rzadkich, siwych włosów, cienkich jak pajęcza nić. Brwi władcy były krzaczaste, a spod nich spoglądały przenikliwie oczy, błyszczące od gorączki. Pobielale knykcie upierścienionej dłoni zaciskały się na główce hebanowej laski, rzeźbionej w kształt lba krzyczącej orlicy. Na krogulczej szyi starca wisiał złoty łańcuch.

– Pozwólcie, że powitam was w moim orszaku, współwędrowcy. Wielebny opat wspominał o was w listach do kancelarii. Mam przyjemność z cudotwórczynią Agnes z Rubinowej

Wieży... I Utherem Mac Flannem, fehmistrzem Żelaznej Kohorty. – Wielmoża otarł twarz haftowaną chustą, dzierżoną w drżącej dłoni. – Mam wyborną pamięć do słowa pisanego i wciąż dobre oczy, dzięki bogom.

– My zaś znaleźliśmy się w zaszczytnej gościnie dostojnego Księcia Elekta Wolnego Miasta Limburg. Czynicie nam wielki honor, wasza książęca łaskawość. – Czarodziejka dygnęła z wdziękiem.

– Tak, tak. Moja łaskawość. – Doża machnął niecierpliwie ręką. – Wcześniej podróżowałem incognito, częściowo dla bezpieczeństwa, ale głównie po to, by w Limburgu nie zawrzały niepokoje na wieść o moim wyjeździe. Jednak tutaj, wysoko w górach, nie ma miejsca na sekrety i tajemnice. Jesteśmy nadzy przed obliczem bogów. – Rozkaszał się w chustę, zostawiając na haftowanym jedwabiu kleks krwawej flegmy. – A przynajmniej winniśmy być takimi; oczyszczeni z kłamstwa i gotowi na przyjęcie błogosławieństwa.

– Wasze słowa, książę, przynoszą chlubę waszej pobożności.

W nieodgadnionym spojrzeniu Doży zagościło rozbawienie przemieszane z irytacją.

– Bogowie zaiste są wielcy. Nie spodziewałem się, że dożyję dnia, gdy ujrzę wiedźmę z Miasta Wież gotową błagać o łaskę na schodach Zębatej Grani. Żarna cierpienia kruszą nawet najtwardsze serca.

– Ja zaś nie sądziłam, że będzie mi dane pielgrzymować u boku władcy Limburga, łaskawy książę. Oboje trwamy w nabożnym zdumieniu.

Zapała cisza. Po kilkunastu sekundach Doża przerwał ją obcesowo.

– Możecie podróżować w moim orszaku. Langbroek wyda wam zapasy. Idźcie już. Jestem zmęczony. – Z zaskakującą siłą łomotnął hebanową laską w ścianę swego pojazdu, który Utherowi zaczął kojarzyć się z wyjątkowo luksusową trumną. Wydany w ten sposób rozkaz wywołał natychmiastowe poruszenie na zewnątrz. Posłuchanie dobiegło końca i para gości wycofała się z ciasnej przestrzeni palankinu.

– Jeszcze jedno. – Szmaragd na pierścieniu błysnął zielonym refleksem, gdy władca Limburga osadził ich w miejscu krótkim gestem dłoni. – Gdzie jest reszta pielgrzymów? Opat wspominał o dwudziestu trzech duszach oddanych pod waszą opiekę. Macie ze sobą tylko dziecko i trędowatą. Co stało się z pozostałymi?

Wojownik i czarodziejka spojrzeli po sobie.

– Napadnięto nas – odpowiedział szermierz. – Obecność moja i Agnes okazała się niedostateczna. Pielgrzymi byli chorzy i niedołączni, a liczebność bandytów przeważająca. Nasza czwórka ocaliła życie z najwyższym trudem.

– Rozumiem. – Podbródek księcia opadł na pierś. – Szkoła. Miałem nadzieję na inną odpowiedź. To wszystko.

Goście wyszli na zewnątrz. Słoneczne światło raziło w oczy, nawykłe do trumiennego mroku. Agnes posłała Utherowi zatroskane, pytające spojrzenie. Kaleka wzruszył ramionami.



Górski olbrzym zamachnął się maczugą, a raczej niewielkim drzewkiem wzmocnionym żelaznymi obręczami. Rozległ się chrupot i w miejscu, gdzie stał najodważniejszy ze strażników, pozostała jedynie krwawa mgiełka.

Pozostali zbrojni mieli więcej oleju w głowie i ostrzeliwali potwora z kusz, chowając się za skałami i błyskawicznie zmieniając pozycję. Langbroek wydawał rozkazy i dowodził oddziałem tak, by odciągnąć uwagę bestii od lektyki Doży.

– Ładować! Wymierzyć! Zwolnić! – Pewny głos starego sierżanta niósł się nad polaną. Bełty znalazły cel i utkwily w grubej skórze. Gigant reagował na trafienia tak, jak wściekły bawół mógłby reagować na uządlenia gzów. Rozjuszony, zamachnął się na ryżego młodzieńca, który zdążył w porę uskoczyć za wapienny ostaniec. Krucha skała pękła, grad odłamków sypanął się na ukrytych w pobliżu żołnierzy.

– To na nic, dowódco! Bełty nie wchodzą pod skórę! – wykrzyknął rudzielec, o włos uniknąwszy śmierci.

– Morda w kubel, Hansel! Zaraz będziemy go mieć na talerzu! – odwrzasnął sierżant.

Olbrzym walił w skały jak obłąkany, odłamki kamienia pryskały wokół jak kartacze, potężna maczuga gubiła drzazgi i gwoździe z okucia. Żołnierze cofali się metodycznie w kierunku wyrysowanego przez czarodziejkę kręgu. Czekający w zasadzce Uther chuchał na tłący się lont nabitego siekańcami garlacza. Gdy potwór stanął wewnątrz magicznego znaku,

kulawy szermierz wyskoczył niezgrabnie z ukrycia i wypalił mu w pysk. Nawałnica szklanych odłamków i drobnych monet zmieniała oblicze giganta w siekany kotlet. Upuścił maczugę i złapał się oburącz za twarz, kryjąc oczy. Opadł na kolana, czarna krew płynęła między grubymi paluchami.

– Teraz! Przywal mu! – Wojownik krzyknął do Agnes, która zajęła uprzednio pozycję na wysokiej skale w bezpiecznej odległości, skąd miała doskonały widok na całą scenę.

Czarodziejka przemówiła w mowie żywiołów. Moc wzięła na jej żądanie; trzaskające błyskawice przeskoczyły między palcami rozłożonych dłoni. Burzowe chmury zagotowały się ponad magicznym kręgiem, pęczniały i kłębiły się, rodząc śmiertcionośny piorun, gotów spaść na kark olbrzyma niczym cios katowskiego miecza. Dłonie magini pracowały, jak gdyby ugniatała glinę lub miesiła ciasto na chleb.

Żołnierze przyczaili się za osłonami, czekając z zapartym tchem na pokaz zabójczej magii. Stojący wewnątrz czarodziejkiej pieczęci olbrzym dochodził z wolna do siebie. Przyrodzona tym istotom odporność i zdolność błyskawicznego zasklepienia ran gwarantowały, że bestia wkrótce zaatakuje ze zdwojoną furją.

Nieufny w czarodziejские sztuki, Langbroek krzyknął:

– Halabardy! Halabardy w pogotowiu!

Żołnierze rzucili się po przygotowaną w ukryciu broń. Ścisnęli drzewce w spoconych dłoniach.

Kamienie i mniejsze głązy wewnątrz kręgu uniosły się w powietrze. Iskry przeskakiwały wzdłuż krawędzi metalowego ekwipunku. Tymczasem olbrzym wracał z wolna do zmysłów.

– Teraz, przywal mu! Na co czekasz?! – wydarł się ponownie kulawy szermierz.

Skupiona czarodziejka stanowiła czarny kontur na tle słońca i nikt z obecnych nie mógł wiedzieć, co dzieje się w jej głowie.

Dzierżyła w dłoniach nici magii jak wodze znarowionego wierzchowca. Glina rzeczywistości ustępowała pod dotykiem słów starożytnej mowy. Gdy Agnes była gotowa wyzwolić niszczycielski potencjał błyskawicy, przed jej oczami stanął porzucony na trakcie wóz i pielgrzymi obrócenii w lodowe posągi. Dyscyplina i spokój opuściły ją natychmiast. Zdradziło ją ciało, każąc łapać paniczne oddechy i przyprawiając ramiona o drżenie. Zdradziła ją pamięć; słowa wyuczonych inkantacji rozwiały się jak dym.

Uniesione w powietrze kamienie opadły z grzechotem na ziemię. Ściśnięte w skłębioną kulę chmury rozbiegły się po niebie jak stado wystraszonych baranów. Sierżant i szermierz widzieli, jak czarodziejka osuwa się na kolana. Olbrzym obmacywał grunt w poszukiwaniu upuszczonej broni.

Niezawodny sierżant Langbroek nie stracił głowy. Od początku spodziewał się, że gusła zawiodą, a sprawę trzeba będzie rozstrzygnąć przy pomocy zimnej stali. Wskoczył na głaz i obnażył flamberg, wskazując ostrzem kierunek natarcia.

– Dalej, chłopcy! Brać go na szpice i toporzyska! Za Księcia i Miasto! – rozkazał i pierwszy ruszył do szarży, dając przykład podkomendnym.

Zaprawdę, straż Doży składała się z najdzielniejszych synów Limburga. Wypadli pomiędzy skał z okrzykiem na

ustach i otoczyli giganta ze wszech stron, rąbiąc i kłując halbardami. Ciężkie groty, haki i obuchy rozrywały twarde cielsko olbrzyma i czarna krew spłynęła na bezużyteczne glify rozrysowane przez czarodziejkę. Potwór zaczął miotać się się na oślep. Szerokim ciosem monstrualnego łapska posłał do piekła jednego z gwardzistów tuż po tym, jak dzielny młodzieniec wyłobił głęboką ranę w jego udzie. Chłopak wypadł poza krawędź klifu i jego cichnący skowyt był jeszcze przez jakiś czas słyszalny pośród zgielku potyczki.

Gruźlowate palce olbrzyma znalazły wreszcie zagubioną broń, a przekrwione i pełne zwierzęcego gniewu oczy zaleczyły się na tyle, by rozróżnić na tle granitu sylwetki atakujących z doskoku żołnierzy. Trzy oddechy później dwóch kolejnych gwardzistów zamieniło się w worki pogruchotanych kości i pogniętego metalu.

Kulawy szermierz zaklął przez zęby i opuścił swoją kryjówkę, obchodząc potwora łukiem. Kuśtykał niezgrabnym truchtem, zmuszając kaleką kończynę do przyjęcia ciężaru ciała. Promieniujący z biodra ból czuł nawet w korzeniach zębów. Odczekał kilka uderzeń serca, aż bestia odwróci się w stronę ocalałych. Wgramolił się na najbliższą skałę i przykucnął, dobywając z bandoliera dwa noże o długich ostrzach. Gdy tylko gigant znalazł się dostatecznie blisko, wojownik skoczył na jego plecy, wybijając się na zdrowej nodze. Oba sztylety pogrzażyły się w cielsku aż po rękojeść, zapewniając stabilne uchwyt. Ciało olbrzyma zaczęło zarastać wokół ran.

Uther podjął mozolną wspinaczkę wzwyż pleców giganta, zostawiając za sobą szlak wbitych ostrzy, zakotwiczonych

w ciele bestii świeżą tkanką węzłastej blizny. Olbrzym ją obracać się gwałtownie i próbował dosięgnąć intruza, jednak nie był w stanie tego uczynić. Langbroek wykorzystał zmianę obiektu zainteresowania przeciwnika i ciał go ostrym jak brzytwa flambergiem pod kolano. Noga złożyła się jak złamane przeszło mostu i potwór opadł na czworaka. Ocaleli strażnicy przypadli do obalonego wroga, by zadać ciosy w niedostępne dotąd partie szkaradnego cielska.

Ranny, lecz wciąż śmiertelnie groźny przeciwnik zamiótł wokół drzewną maczugą. Sierżant i trzej wciąż walczący gwardziści musieli paść płasko na ziemię, by uniknąć ataku. Jeden z nich nie zdążył i postradał życie.

Kaleki wojownik stanął chwiejnie na karku olbrzyma. Wyjął miecz i wbił go po samą rękojeść pod obojczyk bestii i modlił się, by jej anatomia była choć w części podobna do ludzkiej. Nim zraniony gigant zdążył zareagować, Uther dwukrotnie wyszarpnął ostrze i ponowił zabójczy sztych, szukając na oślepie życionośnej tętnicy. Czarna krew trysnęła z rany, nagradzając jego wysiłki. Wojownik naparł na rękojeść i obrócił klingę w ranie.

Wówczas wigor całkowicie opuścił umierającego giganta. Stwór mruczał przeciągle a żałośnie niskim tonem, od którego drżały kamienie i jeżyły się włosy. Upadł na brzuch i macał niezdolnie rękoma za zgubionym drzewkiem. Niewiarygodny organizm próbował wyleczyć śmiertelne rany, jednak uszkodzenia okazały się zbyt wielkie. Zamiast zasklepić się w dawny kształt, tkanki poczęły zarastać w dziwaczne formy, dusząc organy i zatykając tętnice bliznowatymi zrostami. Potworna

regeneracja stała się teraz przekleństwem umierającego giganta, przedłużając jego agonię w nieskończoność.

Agnes opuściła pozycję na wzniesieniu i zeszła między ocalałych, by nieść pomoc rannym. Gwardziści księcia odsuwali się jednak od czarodziejki, patrząc na nią z pogardą i nienawiścią.

Na rozkaz Langbroeka rozpoczęto chowanie zmarłych.



Gigant odśpiewał żalobną pieśń nad kamiennymi mogiłami swych nieprzyjaciół. Jego jęki i zawodzenia wzmożyły się gwałtownie w nocy i nikt w obozie nie był w stanie zmrzyć oka. Wszyscy siedzieli wokół ognia, milcząc ponuro. Jedyne Doża odpoczywał samotnie wewnątrz swej trumny. Ciszę przy ognisku przerwał sierżant.

– Wyje coraz głośniejsze. Czy on przypadkiem nie wstanie i nie przylezie tu nad ranem?

– Nie – odpowiedziała Agnes, która tego dnia wyglądała jak cień samej siebie. – On kona. Nie sposób odwrócić tego procesu. Gdy aorta została przerwana, czynnik rekonstrukcji tkanek zaczął działać przeciwko niemu. Degeneracyjne zmiany zachodzą kaskadowo. Ciało zrasta się w nienaturalnie poplątane kształty, uszkadzając kolejne organy. Te z kolei także usiłują się zaleczyć i wywołują następne deformacje. – Kobieta zawiesiła głos i zagryzła wargę. – Sądzę, że nie potrafimy sobie nawet wyobrazić takiego cierpienia.

Na te słowa rudowłosej Hansel zerwał się na równe nogi.

– Nie mogę słuchać tej kurwy. Szkoda ci bydlaka, czarownico? Czy to dlatego zdecydowałaś się stać beзуżytecznie jak kura na grzędzie? Gdy my umieraliśmy? Czy może od początku planowałaś nas oszukać? – Chłopak splunął na ziemię. – Chętnie pokażę ci, co czuje tamten potworek, skoro tak go żałujesz. Złączysz się z nim w bólu.

Ryży strażnik rzucił się w kierunku Agnes, porywając miecz. W odpowiedzi Uther uniósł się i obnażył własne ostrze do połowy. Zdecydował się nie zdejmować na noc wspierającego buta.

– Chodź, dzieciaku. Spróbuj szczęścia – sapnął, pochylając łysą głowę jak baran gotów do szarzy.

– Hansel! Spocznij. – Z ust starego sierżanta padł nieznośny sprzeciwu rozkaz.

– Siadaj, Hansel – odezwał się inny żołnierz. – Te czary były gówniane i tyle. Czarownica nie chciała źle, zwyczajnie pokpiła sprawę. Dajże jej spokój. Widzisz przecież, jaką ma teraz gębę, mało się nie rozplacze. Zresztą sierżant od początku ostrzegał, że nic nie będzie z tego czarowania.

Rudzielec zdjął dłoń z rękojeści korda i cofnął się, jednak nie odpuścił.

– Czyś ty zgłupiał, Ewald? To oczywiste, co ona knuje. Księżę wiezie bogate ofiary. Liczyła, że wszyscy wyzdychamy w walce i będzie mogła położyć łapy na skarbach Doży. Jesteś idiotą, jeśli tego nie widzisz.

Uśpione z trudem dziecko rozbudziło się i uderzyło w płacz, wtórując szlochowi konającego olbrzyma.

– Nic tu po nas, Agnes – powiedział kulawy szermierz. – Sierżancie, oddalimy się i będziemy dziś obozować sami. Pu-

ścimy was przodem, damy dzień przewagi. Tak będzie najlepiej. Unikniemy w ten sposób nieprzyjemności. Weźmiemy też trędowną. Od początku była pod naszą opieką, na lepsze czy gorsze.

Uther rozejrzył się wokół ogniska.

– Gdzie ona w ogóle jest, ta babina? Chyba się jej nie zmarło? Widziałem ją niedawno. – Nie zdoławszy zlokalizować pątniczki, kulawy szermierz wzruszył ramionami i kontynuował:

– Co powiesz, Langbroek? Dobrze wiesz, że młody Hansel plecie od rzeczy. Olbrzyma trzeba było zatłuc, żeby nie napadł nas w jakimś wąskim przesmyku albo nad krawędzią klifu. Rozstańmy się więc w zgodzie i niech każdy idzie swoją drogą.

Rudy otworzył już usta, by zaprotestować, jednak prze-rwał mu nieoczekiwany głos.

– To nie będzie konieczne, fehmistrzu Mac Flann.

Jego Łaskawość wstąpił w krąg światła rzucany przez ognisko, wspierając się na hebanowej lasce. Żołnierze z eskorty natychmiast rzucili się, by wesprzeć go ramieniem, jednak odpędził ich machnięciem chudej dłoni, jak natrętne muchy.

– Bogowie krzywo patrzą na bluźnierców z tak zwane-go Miasta Wież. Dlatego zdecydowali się upokorzyć pychę obecnej tu czarownicy, obnażając bezsilność zaklęć i guseł, w których pokładała wiarę. Ofiara moich strażników zostanie zapamiętana, a ich rodziny właściwie zabezpieczone. Nie chcę więcej słyszeć o tej sprawie. – Drżąca dłoń starca sięgnęła w zanadrze futra, by wydobyć brudną, jedwabną chustkę.

Doża otarł smuzkę krwi, która pojawiła się w kąciку ust, gdy mówił. Tymczasem nikt nie ośmielił się odezwać, nie mając pewności, czy władca nie zechce kontynuować.

– Gotujemy się na osąd Kapłanki. Winniśmy oczyścić dusze z grzechu i wykorzenić z naszego grona nieprawe myśli, niewczesne podejrzenia i awanturniczą swarliwość. Na schodach Góry nie będzie żadnych samosądów. O karaniu winnych rozstrzygam ja, ksiączę tej ziemi. Kto postąpi wbrew mej woli, zostanie ścięty. – Książę przerwał na kilka chwil, by jego słowa dobrze zapadły w świadomość słuchaczy. Potoczył wzrokiem wokół paleniska. Wszyscy pokornie spuszczały głowy pod jego krogulczym spojrzeniem. Cień usatysfakcjonowanego uśmiechu pojawił się na surowej twarzy.

– Oczekuję od mych sług i gości, że spędzą resztę nocy na modlitwie i kontemplacji. W ciszy.

To rzekłszy, Doża odszedł do swej lektyki, przyjmując pomoc młodego Ewalda.



Po nieprzespanej nocy pielgrzymi ruszyli w dalszą drogę. Gigant ucichł i znieruchomiał, przerywając pełną żalości pieśń, którą żegnał się ze światem. Jego ciało zrosło się z kamieniem i odtąd oblicze potwora miało już zawsze straszyć wędrowców.

Milczący korowód ciągnął ku szczytowi. Powóz księcia kołysał się na barkach strudzonych tragarzy. Czarodziejkę śledziły wrogie spojrzenia, lecz odkąd Doża ogłosił swoje stano-

wisko, nikt nie ośmielił się jawnie wystąpić przeciw niej. Uther natomiast cieszył się nowo zdobytą estymą wśród gwardzistów. Ów podziw znalazł nawet namacalny wyraz, gdyż rankiem po przebudzeniu fehmistrz spostrzegł obok swego posłania podrzuconą ukradkiem manierkę pełną dobrej przepalanki. Mimo to nieufność między obiema grupami podróżnych pogłębiła się. Żołnierze i słudzy preferowali własne towarzystwo.

Gdy słońce chowało się za grzbietem Garbatego Jaszczura, idący na czele pochodu Ewald zakrzyknął radośnie:

– Jest! Widzę ją! Dzięki niech będą łaskawej Bogini! Widzę świątynię!

Nastroje wśród pielgrzymów wyraźnie poprawiły się po tym zdarzeniu. Wkrótce wszyscy mogli objąć wzrokiem cel wyczerpującej podróży: sanktuarium u szczytu Schodów Pielgrzyma.

Budowla wieńczyła szczyt góry, wyrastając pośrodku stromych urwisk kamienistej turni. Wiodła do niej zdradliwa dróżka wijąca się na krawędzi grani. Świątynia była na wpół zrujnowaną, starożytną konstrukcją, pochodzącą ze świetniejszych czasów zamierzchłej przeszłości. Właściwy budynek otoczono kolumnowym portykiem, a wejście uświetniał zdobiony płaskorzeźbami tympanon. Do budowy użyto białego marmuru, który na tle pospolitej szarości granitów odznaczał się jak mleczna perła na szyi zgrzybiałej matrony.

Wicher przetaczał tumany mgły nad szczytami gór i suszył pot na twarzach strudzonych wędrowców. Opar to odsłaniał, to ukrywał fragmenty sanktuarium w ten sposób, że nie dało się w jednym spojrzeniu uchwycić wszystkich bajecznych

szczegółów. Zupełnie jakby świątynia była orientalną tancerką, która posługuje się muślinowym woalem, by osłodzić czarowność swych wdzięków egzotyczną przyprawą tajemnicy i niepewności.

– Marmur? – zdziwił się głośno Uther. – Przechodzi moje pojęcie, jak oni go tutaj zatargali.

– Cichaj, bluźnierco. Cud boży to sprawił, by napawać ludzkie serca podziwem i trwogą. – Słowa te wyrzekł mnich imieniem Albert, który z sobie znanych powodów wziął udział w pielgrzymce, przyjmując rolę pospolitego tragarza.

– Istnieją sposoby. – Zamyślona Agnes dodała swoje trzy grosze. – Wiedza starożytnych była ogromna, a ich magia zdolna przenosić góry. Współczesną cywilizację można przyrównać do gromady lepierek wzniesionych na ruinach minionej chwały. Bardziej zajmuje mnie inne pytanie: w jakim celu podjęto tak wielki trud? Dlaczego akurat tutaj?

– Bo mogli? – zaproponował młody Ewald, pocierając swędzącą ranę za uchem, gdzie niedawno trzepnął go kamień spadający z osuwiska. – Jakbym mógł, to też bym sobie postawił coś takiego.

– Koniec marszu na dziś – zakomenderował Langbroek. – Tragarze! Odstawić lektykę za linią skał. Znajdźcie miejsce chronione od wiatru. Nim osiągniemy cel, czeka nas jeszcze cały dzień forsownego marszu.

Koniec końców pojazd księcia ulokowano wprawdzie w zaciszu, lecz niebezpiecznie blisko krawędzi klifu. Nie było wielkiego wyboru, u szczytu Schodów Pielgrzyma trudno o płaską powierzchnię.

Obóz stanął w ciągu minut, otulony gęstniejącą mgłą. Czarodziejka wpatrywała się w białe mleko przez pryzmat wycięty z niebieskiego klejnotu. Siedziała na kamieniu i podwinięta spódnica odsłaniała jej nogi w sposób wyjątkowo kuszący i zalotny, jednak efekt psuły mało zalotne i mało kuszące onuce z grubej wełny. Dzieciątko, zawinięte w przytulny tobolek, spało grzecznie i memlało po swojemu.

– Ty coś tam widzisz w ogóle? – zainteresował się Uther.

– Widzę. Mam magiczny kryształ.

– Do tego służą wszystkie te kamyszki? Do patrzenia? – Szymierz stuknął knykiem w otwarte puzderko w zasięgu ramienia czarodziejki. Pojemnik zawierał kamienie szlachetne i półszlachetne, szlifowane na rozmaite sposoby. Na niektórych wygrawerowano przedziwne, skomplikowane glify.

– Niektóre. Tego na przykład mogłabym użyć, gdybym chciała zobaczyć coś bardzo małego. – Obróciła w smukłych palcach ametyst, wyłuskawszy go z pudełeczka. – Na przykład, bo ja wiem... – Agnes wyciągnęła szyję i zapuściła żurawia w kierunku pasa fehmistrza.

– Śmieszne – skwitował żart cierpkim grymasem. – A pozostałe?

– Różnie. Niektóre z nich to książki. Mogę w ten sposób przenosić zapiski, które w innym wypadku zajęłyby wiele opasłych tomów.

– Przedziwne. Jak to miałyby działać?

– Znaki zapisane są w mikrostrukturze kamienia. Klejnot funkcjonuje jak skomplikowany pryzmat. Jeśli przepuszczę przezeń światło w odpowiedni sposób, otrzymam na wyjściu

coś w rodzaju widma, projekcji. Wygląda to tak... – Wzięła w dłoń wielki rubin, który ze względu na sam rozmiar musiał być wart fortunę. Kamień wydawał się być zanieczyszczony; przy uważnych oględzinach można było dostrzec siateczkę mikroskopijnych pęknięć i niedoskonałości, zbyt małych, by dało się przyszpilić je wzrokiem.

Następnie Agnes uniosła klejnot do zachodzącego słońca, którego krwisty poblask przelewał się przez mgłę. Gdy światło padło na kryształ, każda płaska powierzchnia w pobliżu pokryła się czerwoną pajęczyną niewyraźnych znaków. Granit, materia namiotu, saganek, a także twarze obojga rozmówców upstrzone były mrówczym wzorem miniaturowych literek.

– Aby dało się cokolwiek przeczytać, potrzebne są bardziej kontrolowane warunki. Używamy specjalnych świec, zakłęk i odczynników alchemicznych, które płoną w pożądanym kolorze. Istnieje też system indeksowania, pozwalający szybko znaleźć poszukiwany ustęp w tekście. Obawiam się jednak, że jest zbyt złożony, by wytłumaczyć jego działanie w jeden wieczór.

– Tak, tak. – Kaleka machnął ręką. – Nie przejmuj się przyglupem, bo i tak nic nie zrozumie. Wciąż trawię ten pierwszy pokaz.

Po chwili dodał:

– Muszą być dużo warte.

– Są bezcenne. Niektóre są też śmiertelnie groźne. Czemu pytasz, planujesz mnie obrabować?

– Tak sobie właśnie kombinowałem. Ale najpierw poczekam, aż uśniesz.

– Zbliż się do mojego posłania, a odstrzelę ci ten lsy łeb. Błyskawicą.

Żart skwaśniał w ustach czarodziejki, nim zdążył wybrzmieć. Nieokreślona emocja złamała jej regularne rysy. Czy był to wstyd?

– Wiesz, jeśli chodzi o kanion...

– Myślę, że rozumiem, co tam zaszło. – Uther uciął niepewną próbę zabrania głosu przez rozmówczynię. – Nie oceńaj się zbyt surowo. Nie jesteś żołnierzem, nie przywykłaś do takiego życia. To, że wyruszyłaś w drogę samotnie i dotarłaś tak daleko, samo w sobie dowodzi rzadkiej odwagi i determinacji. Poza tym Doża jest rozważnym człowiekiem. Sądzę, że możesz czuć się bezpiecznie.

Agnes podniosła głowę, w jej oczach szklily się łzy.

– Chciałam tylko ratować swoje dziecko. Zamiast tego... Uśmierciłam pielgrzymów oddanych pod moją opiekę. Nie potrafię o nich zapomnieć. Ja... Śnię o tym każdej nocy... Nie wiem... Czy kiedykolwiek zdołam kogoś skrzywdzić. I lękam się... To podle i samolubne, jednak lękam się... Że przez tę zbrodnię Bogini nie wysłucha mojej prośby.

Uther długo szukał słów, nim wreszcie zdecydował się odpowiedzieć.

– Dziecko nie jest niczemu winne. Nawet jeśli ty jesteś. Śpij już, nie zadręczaj się.

Zmrok zapadł, gdy rozmawiali. Kaleka dźwignął się na nogi. Agnes patrzyła na jego krępa, asymetryczną sylwetkę przez łzy, dopóki nie zniknął w ciemności.

Bliski z dawna ściganego celu, Uther nie potrafił znaleźć wytchnienia. Nogi niosły go po urwistej turni z dala od obo-

zowiska, z dala od ludzi. Zmęczenie kazało mu w końcu sięgnąć nad krawędzią klifu, skąd długo obserwował obłoki kłębiące się w kotlinie poniżej. Wreszcie zwiesił głowę i osunął się w sen pełen koszmarów.



Orężny zgiełk ucichł i pozostał jedynie ból zdruzgotanego ciała. Nad pobojowiskiem kołowały padlinożerne ptaki. Zwały trupów zalegały zryte aproszami pole, okryte całunami powalonych sztandarów. Zwłoki tych, którzy zginęli w pierwszych potyczkach, gniły już od czterech dni. Smród był infernalny, grabiący zmarłych maruderzy osłaniali nosy i usta zawojami nasączonymi alkoholem.

Hałdy zrzuconego na stertę oręża górowały nad wypaloną równiną. Wiatr niósł popiół i dym ze spalonych wiosek i porzebowych stosów.

Wierzchowiec Uthera padł, ugodzony w pierś ostrzem partyzany. Ranny fehmistrz gorączkował, majaczył i cierpiał. Słońce wędrowało po niebie, odmierzając upiornie powolne minuty agonii. Wzeszły gwiazdy, chłodne i obojętne. Piękne.

W chwilach, gdy był przytomny, usiłował wypełznąć spod końskiego trupa. Nie czuł stopy już od południa. Werszek po werszku uwalniał potrzaskaną kończynę od gniotącego ją ciężaru. Każdą taką próbę przyplacał nieodmiennie straszliwym bólem i kolejną utratą przytomności.

Przed zmierzchem padł na niego cień marudera obdzierającego zabitych. Żołdak stanął nad Utherem, dzierżąc na-

dział, którego obuch pokryty był rdzawymi plamami zakrzepłej krwi i zaschniętej tkanki z rozłupanych czaszek. Wyglądał jak narzędzie rzeźnika, jak młotek do uboju świń.

Półprzytomny, trawiony gorączką Uther osłonił głowę ręką, okupując to złamaniem obu kości przedramienia. Nagłym szarpnięciem poderwał nogi napastnika i rozpoczęły się koszarne zapasy w krwawym błocie. Z każdym ruchem i obrotem ciała fechmistrz tortuował uwięzioną nogę, słysząc trzask i chrzęst miażdżonych kości, rozrywanych stawów, dartych ścięgien. W końcu żelaznym chwytem kowalskich dłoni wydusił życie z napastnika i legł bez ducha na świeżym, rozgrzanym walką trupie.

Światło poranka zwróciło szermierza światu. Zaparł ręce o koński grzbiet i przywołał w myślach bogów podziemi, by dali mu wolę na jeszcze jeden, ostatni wysiłek. Zamknął oczy, by nie widzieć larw, które zagnieździły się w udzie i rosły tłuste na gnijącym mięsie. Zmagał się z bezwzględny ciężarem i otepiającym cierpieniem, charcząc, płacząc i plując. Wtem poczuł na karku czyjś wzrok, niby namacalny dotyk. Zaprzestał walki i spojrzał w tamtą stronę.

Skowronek siedział na koniu, wspaniały i smukły, w purpurowym płaszczu i złożonym napierśniku. Wysoki hełm z pióropuszem trzymał pod pachą. Na twarzy kondotiera kwitł sardoniczny uśmiešek. Jak długo stał? Jak długo patrzył? W tyle widać było kołyszący się sztandar Kohorty, niesiony przez oddział pieszych żołnierzy.

– Poomóó... Pomo... Po... – wyjęczał błagalnie uwięziony fechmistrz.

Oficer odwrócił się do nadchodzących piechurów.

– Nic tu po nas! Nie ma nikogo więcej. Wracamy do obozu.

Sztandar zatrzymał się, okręcił w miejscu i zaczął oddalać. Skowronek cmoknął na konia, zawrócił go i odjechał, depcząc plugawą breję pobojo-wiska.

Uther zawył w myślach, lecz z jego ust wydobył się jedynie cichutki charkot.



Przebudził go potworny ból kalekiej nogi i z jednego koszmaru ocknął się w kolejny. Kostusza sylwetka marudera obdzierającego zwłoki górowała nad nim, dziwnie wydłużona oddolną perspektywą. Walczył, tak samo jak każdej nocy. Przeciwnik padł na skałę, uderzenie wydusiło zeń powietrze wraz z okrzykiem zaskoczenia. Uther natychmiast przygniótł żołnierza ciałem. Tym razem było łatwiej; tym razem miał nóż i wolną nogę. Ostrze znalazło się na grdyce napastnika, kreśląc na niej cienką linię czerwieni...

– Ewald? Co za diabeł w ciebie wstąpił?

– Spaleś nn... Tunaż... Tuż nad urwiskiem. Myślałem, żeby cię kawałek odciągnąć... Byle gwałtowniejszy ruch i runąłbyś w przepaść.

– Może i dobrze by się stało – burknął kaleka, chowając sztylet. – Jeszcze noc. Po coś tu za mną przylazł, chłopaku? Jesteśmy kawałek drogi od obozu. Powinieneś trzymać wartę albo grzecznie chrapać.

Młody gwardzista zagryzł wargę, a jego szczere oblicze natychmiast przyjęło grymas winowajcy. Obolały i obudzony w podłym humorze wojownik nie potrzebował wiele, by nabrać podejrzeń. Pchnął limburskiego żołnierza w pierś. Zaskoczony młodzian zgubił równowagę i zamachał panicznie ramionami, gdy jego środek ciężkości znalazł się nagle za krawędzią urwiska. Uther schwycił gwardzistę za ubranie na szyi i powstrzymał przed upadkiem, nie pozwolił jednak wrócić na pewny grunt.

– Gadaj, bo pofruniesz.

– Kiedy ja nic złego... Sierżant Langbroek kazał mieć was na oku, panie fechmistrzu. Mówił, żeby dać znać, jak będziecie wracali. To wszystko. Naprawdę nic...

Kaleki szermierz puścił go. Ruszył w kierunku obozu. Pewność nieuchronnej tragedii spadła na niego jak gilotyna. Zdrada, którą powinien spostrzec od razu. Strach i dotkliwe poczucie ślepoty zgłuszyły niesłabnący ból okaleczonej kończyny. Serce trzepotało w jego piersi jak dziki ptak.

W obozie nikt nie spał. Mgła rozwiała się przez noc. Wiatr szarpał ogniami pochodni. Tragarze patrzyli na kulawego szermierza, gdy się zbliżał.

Jakiś sługa grzebał w jego rzeczach. Uther kopnął go w twarz żelaznym butem, pozbawiając zębów i przytomności. Zabral ze swojego bagażu garłacz, syty metalowym złodem i miedziakami. Zawsze nabijał broń na noc; wystarczyło jedynie odpalić lont od płonącej żagwi.

Pokuśtykał w kierunku posłania czarodziejki. Drogę zastąpiła mu dwójka ocalałych gwardzistów, sierżant Langbroek

i dwóch najdzielniejszych tragarzy, uzbrojonych w kordy. Jednym z nich był brat Albert.

– Odłóż broń, Mac Flann! Doża pragnie z tobą mówić. – Dowodzący resztkami straży wiarus trwał z uniesioną ręką, gotów dać rozkaz strażnikom dzierżącym kusze.

– Wciąż jest pod urokiem... – szepnął trwożliwie jeden ze sług, przyglądających się z przestachem.

Tymczasem ukryty pod dłonią lont garłacza dopalił się i Uther wystrzelił. Posiadający najlepszy instynkt Langbroek odskoczył za skałę. Jego młodsi koledzy padli na ziemię, rażeni gradem odłamków. Pancerze uchroniły przed śmiertelnymi ranami, jednak odsłonięte części ciała zostały naszpikowane śrutem. Nieszczęśni odważni tragarze mieli się znacznie gorzej. Widząc to, pozostali słudzy rozbiegli się, pochowali i zniknęli z widoku.

– Wściekły pies! Należało go ubić... We śnie! – wrzasnął pokładający się z bólu Hansel. Fechmistrz przestąpił nad nim i przy okazji rozwalil kuszę, depcząc z mocą mechanizm spustowy.

Uther stanął nad posłaniem czarodziejki i upuścił broń. Agnes leżała zawinięta w koc. Martwa. Poderżnięto jej gardło. Obcięto język. Wylupiono oczy. Plugawa wiedźma nie rzuci już na nikogo uroku.

Mimo że otępiały w żałobie szermierz długą chwilę wpatrywał się w zwłoki, Langbroek nie rzucił się do niespodziewanego ataku w plecy. Stał tylko na drodze między kulawym szermierzem a lektyką księcia.

– Kto?! – zapytał fechmistrz. Na wygolonej skroni pulsowała nabrzmiała żyła, a w oczach stały łzy.

– Ja – odpowiedział sierżant. – Sam. Chłopcy nie mają z tym nic wspólnego. Wziąłem to na swoje sumienie.

– Na rozkaz? – Uther zagryzł zęby i położył dłoń na mieczu. – Głupie pytanie. Oczywiście, że na rozkaz.

– Księżę sądzi, że jesteś pod urokiem. Ja uważam raczej, że zwyczajnie się zadurzyłeś. Tak czy inaczej, otrząśnij się. To była wiedźma. Jej plugawe czary doprowadziły do śmierci niewinnych.

– Jeśli ktokolwiek z nas miał prawo nazywać się prawdziwym pielgrzymem, to właśnie ona. Nie żądała nawet łaski dla siebie.

– Skąd możesz to wiedzieć, Mac Flann? Skąd wiesz, czy dziecko nie było porwane? Czy nie miało stać się obiektem czarnoksięskich zabiegów? Nie powinienesz wierzyć w ani jedno słowo, które padło z ust tej żmii. Nie wolno nam było wprowadzić diablity w progi świętego miejsca.

– Gdzie dziecko?

– Bezpieczne. W rękach księcia.

– Zginiesz, Langbroek.

– Ani ja, ani księżę nie chcemy twojej śmierci, Mac Flann. Opamiętaj się i złóż broń. Zostałeś zwiedziony. Grzechy zostaną ci przebaczone i będziesz mógł ukończyć pielgrzymkę.

– Zginiesz.

Stary weteran obnażył faliste ostrze flamberga, złapał miecz oburącz i przyjął postawę Pługa.

– Swego czasu byłeś sławny, Koźle. Nikt nie mógł się z tobą mierzyć. Teraz jednak jesteś kaleką. Szalonym kaleką.

Uther dobył własnej broni i stanął w pozycji Głupca, kierując ostrze ku ziemi.

– Jesteś martwy. – Obląkany gniew kulawego szermierza był widoczny w czerwonej twarzy, wyszczerzonych zębach i w niecierpliwym drzeniu mięśni. Był jednak spętany, jak dzika bestia na krótkim łańcuchu.

Starli się w pojedynku, krzyżując stal w próbnej wymianie ciosów. Poranieni kartaczami gwardziści nie byli w stanie włączyć się do walki, a rozproszeni tragarze nie mieli na to odwagi.

Rozważny Langbroek atakował z dojścia i zachowywał dystans, wykorzystując przewagę zapewnianą przez parę zdrowych nóg. Styl kalekiego fechtmistrza był z konieczności oszczędny i defensywny. Uther wiedział, że jeden jego błąd wystarczy, by stracić równowagę i zakończyć walkę. Polegał zatem na żelaznej obronie i gwałtownych kontratakach, które krzesaly iskry na hartowanej gardzie flamberga. Furia szermierza znajdowała ujście w tych mocarnych ciosach. Langbroek zataczał się, przechwytyjąc straszliwe riposty na własne ostrze. Mimo to każdy znawca fechtunku zauważyłby natychmiast, że inicjatywa należała do siwego wiarusa.

Sierżant skrócił dystans. Kaleka dostrzegł w tym swoją szansę i wyprowadził zdradziecki cios fałszywym ostrzem, wymierzony pod pachę. Langbroek w porę zmienił pozycję i przyjął brzeszczot na napierśnik. Uderzenie wydusiło dech z limburskiego weterana. Znalazł się zbyt blisko Uthera, by dobrze wykorzystać ostrze swego masywnego miecza. W zamian za to wyrznął fechtmistrza głowicą w zęby i poprawił okrutnym, końskim kopnięciem w okaleczoną nogę.

Koziół opadł na kolano, zdany na łaskę nieprzyjaciela. Flamberg sierżanta powędrował w górę, wznoszony do zabój-

czego uderzenia w głowę. Klęczący Uther złapał swój miecz oburącz za ostrze i wykorzystał jelec broni jako hak, by złapać gardę flamberga. Jelce zakleszczyły się o siebie i Uther pociągnął z całej siły, otwierając głęboką ranę w poprzek własnych dłoni, kaleczonych o trzymane ostrze. Mimo to wyrwał broń z rąk zaskoczonego weterana, który w dodatku stracił równowagę i zatoczył się w przód. Znajdujący się akurat na właściwej wysokości Uther złapał go za jądra i ścisnął z całej siły. A krzepę miał iście kowalską, w młodości zabawiał dziewczęta łamaniem podków.

Na tym walka się zakończyła. Uther dobił padającego sierżanta pchnięciem sztyletu w oko.

Zwycięzca wstał i ruszył w kierunku lektyki. Zataczając się, zgrzytał wleczonym po ziemi sztychem o skałę, kreśląc na niej chaotyczne zygzaki. W oczach niósł obłąd i zemstę.

Drzwiczki lektyki huknęły, wyrwane z zawiasami. Kula-wy potwór stanął w progu. Leżący wśród futer Doża trzymał w szponiastych rękach płaczące dziecko. Przy jego posłaniu kulila się trędowata kobieta. Tonąca w półmroku scena przypominała wynaturzone malowidło; rodzinny portret zdegenerowanych arystokratów. Smród choroby przepajał duszne powietrze.

– Ty nędzna, niewdzięczna kreaturo! – Uther wypluł wibrujące gniewem oskarżenie w kierunku trędowatej. – Jak mogłaś?! Żałosna, obrzydliwa starucho...

– Skończ z tym szaleństwem, fehmistrzu. – Książę Limburga nie okazywał strachu. – Czy naprawdę chcesz karać tę kobietę za to, że dała świadectwo prawdzie? Czy zaprzeczysz,

że wiedźma odebrała życie pielgrzymom na szlaku? Że uczyniła to za pomocą nieczystej magii? Wróć do zmysłów, głupcze. Znam się na ludziach i wiem, że ta niewiasta nie kłamie. Wiem też, że sam byłeś świadkiem zbrodni popełnionej przez czarownicę. Twój miecz służy złej sprawie. Skazujesz swą duszę na potępienie. Otrząśnij się! Wiedźma nie żyje i nie ma nad tobą władzy.

– Mylisz się. Jestem jej winien sprawiedliwość, bowiem darząc cię ślepyim zaufaniem, pozbawiłem ją życia. Na mocy tego długu duch zmarłej pokieruje moimi czynami. Chciałeś spotkać się z bogami, starcze? Da się to załatwić.

– Nie ośmielisz się podnieść ręki na księcia! – Doża uniósł się na łokciach, wraz z ochrypłym okrzykiem z jego ust wydostał się bryzg krwawej flegmy, szpecąc kosztowne nakrycie. – Jestem skłonny przebaczyć twój niewczesny wybuch i nawet to, że wystąpiłeś przeciw moim ludziom. Nie sposób obciążać cię odpowiedzialnością za grzechy popełnione pod wpływem złego uroku. Jednak moja cierpliwość ma swoje granice.

Uther nie odrzekł nic. Zbliżył się do starca i wyrwał z jego uścisku płaczące niemowlę.

Doża wydobył zatrute ostrze w kształcie dłuta, ukryte w główce hebanowej laski. Zadał podstępne pchnięcie wymierzone w szyję fehmistrza. Książę był jednak zbyt wolny, zbyt schorowany, zbyt stary. Koziół schwycił kruchy nadgarstek arystokraty i złamał go jednym ruchem. Sztylet wysunął się z uścisku szponiastej, wykręconej artretycznie dłoni.

Władca Limburga przełknął pałący gniew i nie dał mu żadnego wyrazu, po raz ostatni w życiu okazując klasę wy-

trawnego negocjatora. Kulawy szermierz opuścił ciasne wnętrze komory i stanął w świeżym, górskim powietrzu. Książę podniósł głos do krzyku, choć wiele go to kosztowało.

– Byłeś człowiekiem wielkiej sławy, fehmistrzu Mac Flann! Nie pozwól, by gorycz wywołana kalectwem popchnęła cię ku szaleństwu. Morderstwo bezbronного starca nie sprawi, że Bogini spojrzy na ciebie przychylnie.

Uther zawiązał tobolek z dzieckiem na piersi i upewnił się, że supeł trzyma solidnie. Trędownata kobieta wypadła z lektyki, garbiąc się i kuląc strachliwie. Pozostali członkowie orszaku rozpierzchli się i nie było ich nigdzie widać.

– Uczynię cię nauczycielem fechtunku na mym dworze, Mac Flann! Nawet jeśli Kapłanka odmówi twej prośbie, zajmiesz zaszczytną i szanowaną pozycję w Limburgu. Doprawdy, czy mógłbyś oczekiwać lepszego losu? Tułacze życie oplukanego wyrzutka nie licuje z twym dorobkiem, z twoją reputacją...

Upewniwszy się, że dziecko jest dobrze uwiązane, Uther okrążył lektykę i napał ciałem na burtę. Drewno zgrzytnęło o kamień. Doża poczuł, że powóz przesuwa się powoli w kierunku przepaści.

– Popelniasz wielki błąd! Ściągasz na swą głowę przekleństwo, którego nie da się zmazać!

Poczerwieniały z wysiłku fehmistrz pchał palankin przed sobą, przytulony policzkiem do ażurowego okienka. Okaleczona noga, zmuszona dźwigać część ciężaru, wyla o zmiłowanie, jednak szalony ogień gniewu wciąż trawił duszę fehmistrza i zagłuszał wszystkie inne głosy. Dystans między pojazdem a skrajem klifu kurczył się nieubłaganie.

Uther przystanął na moment, by złapać oddech i poprawić chwyt. Zdecydował się nie pozostawiać perory księcia bez odpowiedzi:

– Od początku uważałem, że prowadzisz pielgrzymkę... – dyszał ciężko pomiędzy słowami – ...w nieuczciwy sposób... podróżując na grzbietach ośmiu... krzepkich... junaków... Co powiesz na to... żeby zacząć... od początku? Tym razem tak, jak należy.

Doża nie poruszył się na posłaniu. Desperackie wyczołgiwanie się z powozu zmierzającego ku krawędzi klifu leżało poniżej jego godności. Wciąż jednak krzyczał, chociaż przerywały mu ataki rżęzącego kaszlu.

– Ty durniu zatracony... Ty nędzny żołdaku... Niech cię cholera... W środku jest pełno kosztowności... Złota na ofiarę... Zabierz przynajmniej to wszystko! Takie bogactwo pójdzie w diabły... Niech cię piekło pochłonie, za grosz rozsądku... Opętany matole... Nienawidzę głupoty...

Takie były ostatnie słowa księcia. Lektyka runęła w przepaść, a uderzenie w nierówną ścianę urwiska wprawiło ją w dzikie obroty. W kotlinie u podnóża stromizny kłębiła się mgła i spadający pojazd zniknął w niej jak śliwka wrzucona w garnek pełen mleka. Donośny łoskot obwieścił ostateczny upadek. Słabe echo powtórzyło ów dźwięk dwukrotnie.

Wycieńczony Uther opadł na czworaki. Demoniczna siła, która napędzała go do tej pory od chwili przebudzenia, uszła bezpowrotnie. Pozostały jedynie ból, zagubienie, dojmujący wyrzut sumienia, poczucie niepowetowanej straty i gorzkiej

niesprawiedliwości. Dziecko płakało. Nie wiedział, jak temu zaradzić, więc zaczął płakać razem z nim.



Ułożył dla Agnes ładny koczek. Potem, po długiej walce z myślami, pochował też sierżanta. Trędowata kobieta przycupnęła na samotnym gładzie i przyglądała się, jak szermierz nosi kamienie. Uther zadawał sobie pytanie: co dzieje się w tej głowie, pokrytej liszajem i rzadką siwizną? Jak wyglądała podróż oglądana oczami nędzarki? Choć gardził tym plugawym stworzeniem, nie potrafił żywić wobec niej gniewu. We wszystkim, co robiła, wydawała się kierować strachem. Była jak zwierzę; choroba i nieszczęście wydusiły z niej wszystko, co ludzkie. Czy można winić zdziczałego psa, gdy gryzie?

Tylko dlaczego teraz nie ucieka? Czemu patrzy w milczeniu z tą samą zubożoną rozpaczą, którą nosi jak pancerz od pierwszego dnia wędrówki?

Ułożywszy zwłoki na wieczny spoczynek, Uther przemówił do niej. Nie potrafił przypomnieć sobie, czy czynił to kiedykolwiek wcześniej.

– Ty! Powiesz modlitwy, dobrze? Ja nie pamiętam słów.

Trędowata pokręciła energicznie głową.

– O co chodzi? – zirytował się fehmistrz. – Chyba zasłużyli na modlitwę za zmarłych?

– Nie wolno modlić się za czarownicę. To bluźnierstwo. – Głos kobiety był świszczący i niewyraźny. Dziwnie intonowała słowa, może przez jakiś lokalny akcent.

– Chcesz, żebym zabrał cię do świątyni? Rób, co mówię. – Fechmistrz miał ochotę rozbić głowę kobieciny o najbliższy kamień.

Nędzarka rozważyła to ultimatum i zdecydowała się zleźć z głązu. Podreptała nad kopczyki, pod którymi leżały zwłoki. Rozległ się niewyraźny pomruk pobożnych wersetów, w którym poszczególne słowa zlewały się w jedno. Kobieta recytowała z pamięci i wyraźnie bez zrozumienia. Tyle musiało wystarczyć. Uther zatknął płonące pochodnie na obu grobach.

– Znajdź sobie coś do jedzenia – poradził trędowatej, gdy zakończyła modlitwę. – Nie zatrzymamy się, dopóki nie dostrzemy do sanktuarium.

Przed wyruszeniem Uther przejrzał prywatne rzeczy Agnes. Zabrał magiczne kamienie, sądząc, że niemądrze byłoby zostawiać je w górach, na pastwę losu. Znalazł także złożony sekretnik, któremu zmyślny rzemieślnik nadał kształt złożonej muszli. Wewnątrz krył się miedzioryt wyobrażający przystojnego mężczyznę o starannie przystrzyżonych bokobrodach. Poniżej widniał wygrawerowany artystyczną kursywą napis „Koriolan”. Fechmistrz zostawił złotą muszlę na kurhaniku Agnes, lecz konterfekt zabrał ze sobą.

Karmienie i przewijanie dziecka okazało się ogromnym wyzwaniem. Szczęśliwie w bagażu czarodziejki znajdowało się płótno na pieluchy oraz pewna ilość przygotowanego wcześniej pokarmu. Fechmistrz, niemający żadnego doświadczenia w opiece nad niemowlętami, długo głowił się nad tym problemem. Po kilku nieudanych próbach z łyżką zmienił taktykę. Zaczął maczać rąbek materiału w ciepłym mleku i podawać dziecku

do ssania. Przeglądzone maleństwo jadło, chociaż bardzo niechętnie.

Potem fehmistrz zabrał się do pieluch i zanim załatwił sprawę do końca, ubabrał się po łokcie niemowlęcą sraczką i musiał zagotować wody w kociołku, żeby doprowadzić się do porządku.

Przewinięte i nakarmione dziecko nie przestawało jednak płakać. Kwilenie wydawało się cichnąć tylko wówczas, gdy w płuckach brakowało już sił. Nawet wtedy buzia dzieciątka pozostawała wykrzywiona w nieszczęśliwy grymas. Uther szukał odpowiedzi lub przynajmniej inspiracji w rzeczach Agnes. Najlepszym, co udało mu się znaleźć, były perfumy czarodziejki. Uśmiechnął się gorzko i pokręcił głową nad próżnością kobiety, która nawet wojażując przez niebosiężne góry, życzyła sobie roztaczać woń aloesu i bergamotki. Skropił się obficie pachnidłem w nadziei, że znajomy zapach pomoże dziecku poczuć się bezpiecznie. Nadzieja Uthera okazała się płonna, a maluch wciąż dużo płakał.

Trędowata przyglądała się temu z ubocza. Bezdenne, ponure nic wypełniające dotychczas jej oczy ustąpiło, rozrzedzone odcieniem jakiegoś nowego, nieodgadnionego wyrazu.

Dopóki Uther miał zajęte ręce, trzymał na uwięzi biesy spłodzone podczas krwawych godów minionej nocy. Gdy jednak przyszedł czas ruszyć w drogę, wgrzyzły się w jego serce ze zdwojoną mocą.

Ruszyli szlakiem wijącym się po turni: fehmistrz przodem, trędowata z tyłu, kryjąc się w jego cieniu.